

Szanowny Panie Redaktorze,

W „PAUzie Akademickiej” nr 505 Pan Profesor Łukasz Turski, pisząc o sprawie przyznawania tytułu profesorskiego, stwierdza: „szczególnie ważny..... powinien być problem zachowania przez środowisko akademickie niezależności decyzji dotyczącej przyznawania tego, wyjątkowego przecież, tytułu naukowego”.

W tym kontekście pragnę przypomnieć, że w USA najwyższym tytułem naukowym jest tytuł doktora. Tytuł profesora jest nazwą stanowiska na uczelni. Jest to, można powiedzieć, podejście średniowieczne, gdzie najwyższym tytułem naukowym był doctor = nauczyciel, mistrz. Przyszło to do akademii amerykańskiej tak z uniwersytetów w Italii, jak i w Anglii. Niemiecki Herr Professor to tytuł, stanowisko, funkcja pozwalająca na samodzielne prowadzenie wykładów na uniwersytecie oraz innych zajęć i badań. Oczywiście będący funkcją znakomitości naukowej, intelektualnej, etc, etc.

Także w Austro-Węgrzech, Szwajcarii, Francji, Polsce i innych krajach. Przez długi okres zjawisko względnie rzadkie, dające ogromny prestiż społeczny. Obecnie w związku z potrzebami

rozprzestrzeniło się (profesura), stało się bardziej popularne, powiedzmy – zdemokratyzowało.

Jakiejkolwiek byśmy przydawali temu stanowisku udostojnienia, wciąż tytuł doktora pozostanie najwyższym tytułem naukowym, a tytuł profesora stanowiskiem (niekoniecznie administracyjnym).

Skoro środowisko akademickie ma zachować niezależność przyznawania tytułu, jak Profesor Turski pisze: „przez środowisko naukowe bez ingerencji polityków”, z czym się stuprocentowo zgadzam, Prezydent RP jest tu zupełnie niepotrzebny. Wystarczy akademia.

Biorąc pod uwagę liczbę profesorów na wyższych uczelniach w Rzeczypospolitej, nie mam wrażenia, iż jest to tytuł wyjątkowy.

Swoją uwagę zakończę zdaniem Pana Profesora Turskiego: „Uważam, że powinniśmy przemyśleć nie tylko proces nadawania tytułu profesorskiego, ale i to, czym powinien być w dzisiejszych czasach.....”

Nic dodać, nic ująć.

Z wyrazami szacunku,

JAN NAPOLEON SAYKIEWICZ

Duquesne University
Pittsburgh

Szanowna Redakcjo,

Deklaracje procentowego udziału badaczy w wieloautorских publikacjach są wykorzystywane w procesach awansu naukowego. Chciałbym zwrócić uwagę na jeden element z tym związany, który w mojej opinii jest ważny i zasługuje na dyskusję, bo w większości przypadków determinuje, że są one nierzetelne (co nie oznacza, że są nieużyteczne). Myślę, że się wszyscy zgadzamy, iż deklaracja udziału danego badacza w powstaniu wieloautorской pracy naukowej powinna być oparta na jego, wyrażonej w dobrej wierze, osobistej ocenie. W tej sytuacji nie ma – nawet przy niewielkiej liczbie autorów – większych szans na uzyskanie z sumowania takich **niezależnych** deklaracji 100%. Fakt, że takie sumy w olbrzymiej większości

procesów awansowych okazują się jednak równe 100%, oznacza, że deklaracje powstały w efekcie porozumienia autorów, jeśli nie w wyniku presji na współautorów osoby starającej się o awans. Niezależnie od trybu doprowadzania sumy deklaracji do 100% oznacza to, że działamy w tym aspekcie w systemie niemoralnym, w którym nierzetelne stuprocentowe deklaracje współautorów nie budzą kontrowersji, a uczciwe (niesumujące się do 100%) mogą prowadzić ocenianą osobę do kłopotów z powodu niezrozumienia zarówno u części recenzentów, jak i u pracowników nadzorujących procesy awansu naukowego. Może warto by przemyśleć, czy nie można by dokonywać takich ocen racjonalnie i uczciwie?

Pozdrawiam,

MICHAŁ OSTROWSKI
UJ

Powołanie dziekanów – co wynika z przepisów ustawy

W PAUzie Akademickiej nr 506 z 19 marca 2020 r. znalazła się wypowiedź pana prof. Andrzeja Białasa, w której odniósł się on do działalności zespołu monitorującego wdrażanie reformy szkolnictwa wyższego i nauki. Nawiązując do wywiadu z prof. Maciejem Żyliczem, zamieszczonego w Forum Akademickim nr 2/2020, prof. A. Białas stwierdza: „Nie zdawałem sobie bowiem sprawy, że ustawa wymaga, aby rektor mianował np. dziekana bez zasięgnięcia opinii rady wydziału, albo jakiegoś innego reprezentatywnego gremium”. To stwierdzenie ma związek z uwagą prof. M. Żylicza, że nieprawidłowe są postanowienia statutów uczelni, w których: „ogranicza się kompetencje rektora, w tym np. wskazywanie kierowników jednostek (wprowadzając na przykład wymaganie uprzedniego pozyskania pozytywnej opinii innego podmiotu)”. Zanim przedstawię moją ocenę stanu prawnego, chciałbym podzielić się dwiema ogólniejszymi uwagami. Pierwsza, to dobrze, że Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego stworzyło zespół do monitorowania wdrażania tzw. ustawy 2.0. Jednak taki zespół powinien składać się głównie, jeśli nie wyłącznie, z prawników. Jego zadaniem powinno być nie tylko kontrolowanie, jak uczelnie wdrażają ustawę, ale sygnalizowanie ministrowi właściwemu ds. nauki wadliwych przepisów ustawy i przedstawianie propozycji odpowiednich zmian. Wiele przepisów ustawy budzi

bowiem różnego rodzaju wątpliwości, nie wyłączając kwestii ich zgodności z Konstytucją (najlepszym przykładem jest sławny art. 121a ustawy). Drugą uwagą, to rozmijanie się publicznie składanych deklaracji Ministerstwa o autonomii uczelni wyższych w kształtowaniu ich statutów z faktycznie podejmowanymi przez Ministerstwo działaniami, które świadczą raczej o dążeniu do ograniczenia autonomii uczelni. Wyrazem tego są formułowane w duchu przeciwnym autonomii uczelni zastrzeżenia wobec rozwiązań przyjmowanych w statutach uczelni, podważające wynikającą z przepisów ustawy swobodę uczelni w zakresie kształtowania jej struktury organizacyjnej i powoływania jej organów.

Po tym wstępie pora przejść do analizy ustawy. Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce w ogóle nie wspomina o wydziałach i dziekanach (podobnie zresztą jak poprzednia ustawa). Strukturę organizacyjną uczelni reguluje statut, natomiast ustawa wymienia jedynie trzy organy uczelni – radę uczelni, rektora i senat. Tworzenie innych organów przez uczelnię zależy od treści statutu (art. 17 ust. 2 ustawy). W uczelniach, w których utrzymano wydziały jako jednostki organizacyjne (choć czasami o inaczej niż dotychczas określonych zdaniach, np. jako wyłącznie jednostki dydaktyczne), dziekan może być organem uczelni lub nim nie być. Przykładowo na Uniwersytecie Jagiellońskim pozostały wydziały, ►

▶ którymi kierują dziekani, lecz nie są oni organem uczelni. Kompetencje dziekanów wynikają zatem wyłącznie ze statutu. Ustawa nie określa także sposobu powoływania dziekanów, wymieniając jedynie wśród kompetencji rektora powoływanie i odwoływanie osób pełniących funkcje kierownicze w uczelni (art. 23 ust. 2 pkt 6). To jednak statut określa funkcje kierownicze w uczelni (art. 34 ust. 1 pkt 6 ustawy). Ustawa nie definiuje funkcji kierowniczych. Wynika z niej jedynie pośrednio, że osobą pełniącą funkcję kierowniczą nie jest rektor (sic!). Jeżeli zatem statut uczelni do funkcji kierowniczych zalicza dziekana, to z ustawy wynika, że jest on powoływany i odwoływany przez rektora. Statut uczelni powinien zaś określać zasady powoływania i odwoływania osób do pełnienia funkcji kierowniczych (art. 34 ust. 1 pkt 7 ustawy). Skoro więc ustawa wprost nie zabrania uzyskania opinii o kandydacie na dziekana np. rady wydziału czy możliwości przedstawiania kandydatów na dziekana przez rady wydziałów (jak np. stanowi statut UJ), to w świetle art. 34 ust. 1 pkt 7 ustawy statut uczelni może takie wymagania wprowadzić. Przy wykładni ustawy należy

bowiem kierować się konstytucyjnie zagwarantowaną autonomią uczelni (art. 70 ust. 5 Konstytucji), potwierdzoną w art. 3 ust. 1 ustawy. Ograniczyć autonomię uczelni można jedynie w drodze ustawy. Interpretacja przedstawiana przez zespół monitorujący, jakoby ustawa zabraniała zasięgania przed powołaniem dziekana opinii np. rady wydziału o kandydacie, jest sprzeczna z ustawą, gdyż zmierza do ograniczenia autonomii uczelni. Nawet gdyby statut wymagał uzyskania pozytywnej opinii o kandydacie na dziekana, mieściłoby się to w pojęciu „zasad powoływania osób do pełnienia funkcji kierowniczych”. Nie byłby to zresztą nadzwyczajny przypadek, gdyż ustawa przewiduje sytuacje, w których powołanie na funkcję kierowniczą wymaga uprzedniej zgody (jak w art. 23 ust. 5). Wymaganie uzyskania pozytywnej opinii rady wydziału o kandydacie na dziekana niewątpliwie buduje autorytet dziekana i zapewnia mu możliwość sprawnego i efektywnego wykonywania powierzonych obowiązków. Zgadzam się zatem z prof. Andrzejem Białasem, że bez poparcia społeczności wydziału nie sposób skutecznie kierować wydziałem.

JERZY PISULIŃSKI

Dziekan WPIA UJ

Dwa zabobony

W tym roku minęło 25 lat od śmierci Józefa Bocheńskiego, dominikanina, filozofa, człowieka o barwnym życiorysie i równie barwnej twórczości. Rok 2020 został ogłoszony przez Senat RP Rokiem Bocheńskiego. Z tej okazji postaramy się przez cały rok publikować od czasu do czasu fragmenty *Stu zabobonów*, najpopularniejszego dzieła jego autorstwa. Zaczynamy od dwóch haseł. Pierwsze, **DZIENNIKARZ**, jest najbliższe nam, redaktorom. Umieszczamy je ku własnej przestrodze. Drugie, **SPRAWDZALNOŚĆ**, może być rozumiane jako ciekawy komentarz do rozwijającej się na łamach PAUzy dyskusji na temat pojęcia prawdy.

DZIENNIKARZ. Dziennikarstwo jest zawodem ludzi wyspecjalizowanych w tak zwanych środkach masowego przekazu, a więc w gazetach, tygodnikach, telewizji, radiu itp. Jak sama nazwa wskazuje, zadaniem środków masowego przekazu jest przekazywanie masom informacji. Stąd dziennikarz jest sprawozdawcą i niczym innym. Jest specjalistą w zbieraniu, przedstawianiu i podawaniu innym informacji. Jak długo pozostaje w tej dziedzinie, jego praca jest pożyteczna i nie można mu nic zarzucić. Ale w ciągu ostatniego wieku dziennikarze przywłaszczyli sobie inną funkcję, a mianowicie występują w roli nauczycieli, kaznodziei, moralistów. Nie tylko informują czytelników i słuchaczy o tym co się stało, ale wydają się im, że mają prawo pouczać ich, co powinni myśleć i czynić. A że ich poglądy są rozpowszechniane masowo, dziennikarze zajmują uprzywilejowane stanowisko, mają niekiedy istny monopol na pouczanie ludzi, co jest dobre, a co niedobre.

Wiara, że tak ma być, że dziennikarz ma prawo tak się zachowywać, że należy wierzyć, gdy nas poucza, jest jednym z typowych zabobonów współczesnych. Bo jeśli chodzi o pouczanie nas, dziennikarz nie ma żadnego autorytetu. Nie jest, jako taki, ani specjalistą w żadnej nauce, ani autorytetem moralnym, ani przywódcą politycznym. Jest po prostu dobrym obserwatorem i umie pisać, względnie mówić. Co gorzej, sam zawód dziennikarza jest dla niego samego o tyle niebezpieczny, że musi pisać o najróżniejszych rzeczach, o których zwykle niewiele wie, a w każdym razie nie posiada głębszej wiedzy. Dziennikarz jest więc niemal z konieczności dyletantem. Uważać go za autorytet, pozwalać mu pouczać innych ludzi, jak to się obecnie stale czyni, jest zabobonem.

Kiedy szukamy przyczyny szerzenia się tego zabobonu, wypada przyznać ze wstydem, że nie ma tu chyba innej niż dziecinne wierzenie, że wszystko co drukowane jest prawdziwe – a zwłaszcza jeśli jest drukowane pięknymi literami.

SPRAWDZALNOŚĆ. Cecha zdań, od których zależy ich sensowność. Zasada sprawdzalności brzmi: Zdanie ma sens wtedy i tylko wtedy, gdy istnieje metoda pozwalająca na jego sprawdzenie. Tak np. zdanie „moje okno jest teraz zamknięte” ma sens, bo dana jest razem z nim metoda sprawdzenia: mianowicie, jeśli spróbuję wyciągnąć rękę przez okno, napotkam na opór. Tak rozumiana zasada sprawdzalności jest analityczna i oczywista. Mówiąc: „zdanie p ma sens”, mamy właśnie na myśli, że p jest sprawdzalne.

Ale wokoło sprawdzalności narosło kilka zabobonów. Pierwszy, dziś bodaj już niepopularny, głosił, że sens zdania jest tym samym co metoda jego sprawdzania. Że był to zabobon, wynika już z tego, że aby zdanie mogło być sprawdzalne, musi już mieć (uprzednio) jakiś sens – bełkotu nikt sprawdzić nie potrafi.

Ale podczas gdy ten zabobon rychło upadł, inny okazał się znacznie trwalszy – mianowicie wierzenie, że sprawdzalność potrzebna do sensowności zdania musi być sprawdzalnością zmysłową i międzyosobową. Zmysłową – musimy móc sprawdzić zdanie, o które chodzi, wzrokiem, słuchem, dotykiem itd.; międzyosobową – przynajmniej dwoje ludzi musi być w stanie sprawdzić dane zdanie. Otóż tak pojęta sprawdzalność jest istotnie – pod warunkiem, że można ją rozumieć „z grubsza” – składnikiem metodologii nauk przyrodniczych, w których dopuszczalne są tylko zdania ustalone za pomocą obserwacji zmysłowej (a więc i międzyosobowej) oraz zdania uzasadnione za ich pomocą. Ale stosować ten postulat poza dziedziną nauk przyrodniczych jest zabobonem. Np. zdanie „ząb mnie boli” byłoby wtedy nonsensem, to jest nikt nie mógłby go zrozumieć – podczas gdy rozumiemy go wszyscy.

Nawet jednak w dziedzinie przyrodniczej zasada sprawdzalności ciasno pojęta natrafia na znaczne trudności – jest więc raczej metodologicznym ideałem niż ściśle wiążącym postulatem. Stosowanie jej poza naukami przyrodniczymi jest zabobonem.

Przyjemnie posmakować tej jasnej, klarownej polszczyzny (nawet niekoniecznie się ze wszystkim zgadzając) i odpocząć, chociaż na chwilę, od zalewającego nas codziennie bełkotu*.

Redakcja

* BEŁKOT, jedno z pierwszych haseł tej niezwykłej książki.